

Strach ma biedne oczy

6 lutego 2015

Rosnące nierówności społeczne były głównym tematem rozmów w Davos. Światowa elita biznesowa i polityczna, która zbudowała oligarchiczny system, się boi. I słusznie.

Widmo rewolucji krąży po świecie. Sygnały są jasne i oczywiste. Ogniska zapalne pojawiają się w niemal każdym zakątku globu. Chaotyczne, nieskoordynowane, bez jednej myśli przewodniej i z różnymi hasłami na sztandarach, ale ma się wrażenie, że wkrótce nastąpi efekt kuli śnieżnej. Jak dotąd wszelkie pożary niezadowolenia globalnym elitom udawało się z większym czy mniejszym sukcesem ugasić. Wściekłe grupy społeczne czy też całe społeczeństwa były pacyfikowane. Olbrzymia machina medialno-biznesowa oraz polityczne wsparcie wystarczały. A jeśli nie – wkraczało wojsko. Gdybyśmy szczegółowo prześledzili wydarzenia ostatniej dekady, zauważylibyśmy, że niezadowolenie i frustracja łączą ludzi mieszkających na różnych kontynentach. Wściekli są Grecy, Irakijczycy, mieszkańcy Afryki, Włosi i Hiszpanie. Protestują Egipcjanie i mieszkańcy USA. I chociaż ruch Occupy Wall Street nie przerodził się w amerykańską wersję arabskiej Wiosny Ludów, to podłoże protestów – innych w formie – jest podobne. Coraz większy rozdźwięk między elitami a zwykłym społeczeństwem budzi napięcie wszędzie. Nawet na północy Europy. Tej spokojnej, stabilnej, niemrawej części UE. Tutaj także co jakiś czas dochodzi do erupcji emocji. Zamieszki w Londynie czy w Paryżu zdyskredytowane przez główny nurt jako absurdałna orgia przemocy nie miały co prawda podłoża politycznego, ale nie były też pozbawioną sensu agresją. Ludzie są źli. Czują, że coś jest nie tak, ale nie potrafią tego wyartykułować. Kanalizują więc tę rosnącą frustrację w różnych kierunkach. Raz wrogiem jest policja, innym razem emigrant. Czasem złość wyładowuje się na mniejszościach seksualnych lub/i etnicznych, a czasem na bezrobotnych

pobierających zasiłki. Zaś w krajach zhomogenizowanych, takich jak np. Polska, na cel bierze się różne grupy społeczne lub zawodowe. Atakuje się więc górników (za trzynastki), nauczycieli (za długie wakacje) czy rolników (za KRUS). W zależności od politycznej koniunktury i medialnego zainteresowania. Globalne elity wiedzą jednak dobrze, że ciągłe wyszukiwanie nowych ujść dla społecznych frustracji nie jest trwałym rozwiązaniem globalnego problemu nierówności. Bo to właśnie nierówności są dziś główną i najważniejszą plagą, z którą świat musi się uporać, żeby nie spłonąć.

TORT DLA WYBRANYCH

W zeszłym tygodniu na forum ekonomicznym zwoływanym co roku w Davos 40 przywódców państw oraz 2500 szefów koncernów, firm i przedsiębiorstw martwiło się o skutki systemu, który wspólnie zbudowało. Największa globalna przepaść ekonomiczna w dziejach świata była motywu przewodnim rozważań miliarderów i oligarchów na co dzień budujących swoje fortuny i majątki dzięki niesprawiedliwej polityce gospodarczej większości krajów. Ale nawet architekci porządku ekonomicznego, w którym żyjemy, zaczynają dostrzegać jego niebezpieczeństwa. Już nie tylko George Soros, który lubi o sobie mówić – nieco na wyrost – że jest zdrajcą własnej klasy społecznej, trąbi o zagrożeniach globalnego kasynowego kapitalizmu. Do chóru dołączają też inni. Paul Polman, prezes Unilever, pisze w „Project Syndicate”, branżowym piśmie kadry menadżerskiej, o „kapitalistycznym zagrożeniu dla kapitalizmu”. Christine Lagarde, dyrektor zarządzająca Międzynarodowym Funduszem Walutowym, cytuje Marksa, mówiąc, że kapitalizm musi upaść z samej swojej natury, i bije na alarm, że coś trzeba zrobić, żeby nie doszło do kapitalistycznej autodestrukcji. Bo nawet do luksusowych rezydencji chronionych przez prywatne armie ochroniarskie i szklanych biurowców oddalonych o lata świetlne od normalnych problemów ludzi docierają coraz bardziej niepokojące dane. Takie jak np. te zaprezentowane przez Oxfam. Opublikowane tuż przed szczytem w Davos badanie tej walczącej

z biedą organizacji charytatywnej pokazuje, że dziś wartość majątku 85 najbogatszych osób na świecie odpowiada wartości majątku posiadanego przez 3,5 miliarda biednych. Połowy światowej populacji. W zeszłym roku 1 proc. najbogatszych miał tyle pieniędzy co 48 proc. całej reszty. Różnica w stosunku do roku 2012 zwiększyła się o 4 proc. Wówczas było to „zaledwie” 44 proc. Oxfam przewiduje, że jeśli trend się utrzyma, w 2016 r. finansowa elita będzie miała majątek większy niż 99 proc. całej populacji ziemi. I robi się już naprawdę niebezpiecznie. W książce „Superclass” David Rothkopf opisał i pokazał, jak nierówności społeczne zagrażają demokracji. Problemem nie jest tylko bieda najbiedniejszych, ale także bogactwo najbogatszych.

CIEŻAR PIENIĘDZY

Książka Rothkopfa wyjaśnia, co nas czeka oprócz plag społecznych, takich jak choroby fizyczne i psychiczne, narkomania, przemoc, otyłość, krótszy czas życia, mniejsza trwałość rodziny, jeśli nie wprowadzimy mechanizmów hamujących rozpasanie finansowej elity globu. O ile w wydanej kilka lat temu głośnej książce Richarda Wilkinsona i Kate Pickett „The Spirit Level: Why Equality is Better for Everyone” brytyjscy naukowcy skupili się na społecznym spustoszeniu wywołanym przez rosnące nierówności, o tyle Rothkopf spojrział na państwa. Odwołując się do przykładów historycznych, m.in. ze starożytnej Grecji i XVII-wiecznych Chin, pokazał, że superbogate elity doprowadzały w końcu do zagłady państwa, które umożliwiły im zdobyć bogactwo – bo ich partykularne interesy były sprzeczne z interesem całej społeczności, a nikt nie był w stanie się im przeciwstawić. Tak upadły Sparta i Ateny. Tak upadła dynastia Ming. Dziś kroczymy tą samą ścieżką. W ostatnich trzydziestu latach liczba żyjących za dwa dolary w Afryce się podwoiła. Milionerów przybyło, ale wbrew temu, co opowiadają neoliberalni ekonomiści, nic nie skapnęło na biedotę. W większości krajów świata udział pracy w PKB ciągle spada, a stagnacja płacowa jest zjawiskiem stałym.

Prywatyzacja, deregulacja i niskie podatki dla najbogatszych niszczą gospodarkę, przy okazji zasysając resztki bogactwa ze sfery publicznej. „Rynkowy fundamentalizm” podsyca społeczne konflikty i toksyczny klimat. Kreuje wojny, masowe migracje i polityczną korupcję. Niszczy klimat i destrukcyjnie wpływa na zdrowie i bezpieczeństwo ludzi. Zwiększa poziom ubóstwa oraz antagonizuje różne grupy społeczne i etniczne. I chociaż większość rozsądnych ludzi, akademików, praktyków, ekspertów i polityków zdaje sobie sprawę, że mkniemy ku przepaści, to jednak system wciąż trwa, a gdy pojawia się alternatywa – reaguje paniką. A przecież nierówności społeczne i ubóstwo nie są nieuniknione. Są skutkiem konkretnych decyzji politycznych i gospodarczych, a zatrzymanie tych trendów wcale nie jest skomplikowaną operacją. Udało się w Ameryce Łacińskiej, która po latach neoliberalnej degrengolady zakwestionowała tzw. Konsensus Waszyngtoński. W ciągu dekady w tym rejonie świata liczba ludzi żyjących za dwa dolary dziennie zmniejszyła się o 50 milionów. Prezydent Brazylii Luiz Lula i prezydent Wenezueli Hugo Chavez postawili się globalnej myśli ekonomicznej i wygrali. Dziś ich drogą w jakimś sensie kroczy Syriza, która odniosła zwycięstwo w wyborach w Grecji i kwestionuje gospodarczy oraz korporacyjny ład Unii Europejskiej. I jeśli skądś dziś wieje wiatr nadziei na bardziej sprawiedliwą, racjonalną politykę ekonomiczną, to właśnie z Aten, a nie z Davos. Bo co prawda oligarchowie uświadomili sobie w końcu, że nierówności społeczne dewastują globalny ład, lecz nie są gotowi na predefiniowanie i zmianę układu sił społecznych. Realna zmiana może nastąpić tylko w wyniku społecznej presji i politycznego wyzwania rzuconego establishmentowi.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)